

mówili o nim przyjaciele.

„Kochała we mnie Pani człowieka pełnego perwersji i zastawek zasłaniających rzeczy prawdziwie wielkie” – pisał w jednym z listów. Cały był wresztą złożony ze sprzeczności. Ale jedno w nim stanowiło constans: nieskazitelność moralna. Tę wiedzę o nim posiadało niewiele. Wszystko rozmywało się w plotkach. Wstydliwie wyznawał: „Nic nie zdołało jeszcze naruszyć mojego życiowego idealizmu”. Wstydliwie, bo nie tego oczekiwano od skandalisty, który miał swoim życiem i sztuką epatować spragnione sensacją „elity”. Ówczesne tabloidy spragnione były skandalu! Elity zamieniające bezmyślnie mózgi na blichtr... „Aa, a, kotki trzy, / Zjadły mózgi szare wszy”.

Ale przyszło jeszcze gorsze... Bo z tego konkonu formy w jakim chował się przed światem, Witkacy zawsze bacznie obserwował rzeczywistość. I ta rzeczywistość napawała go coraz większym lękiem. Co więcej, Witkacy wizjoner zobaczył przyszłość, w której nie było dla niego miejsca. Nie było miejsca dla indywidualnego człowieka z jego potrzebami, wartościami, ideałami. Nadchodziło nowe z twarzą Chama, przy którym Edek z Tanga Mrożka był zaledwie wcieleniem prostackiego dyktatora. Nowy Cham miał zmieść wszystko, co stworzyła kultura, tradycja, religia, cywilizacja. „Uczłowieczono bydłeta zaczęły / Całkować niemoc w potworną potęgę. / Myśli bydłecze jęły skręcać skrycie / W sprężynę giętką uczuć wszawych wstęgę”.

Owa potworna potęga władzy Chama, „Masy co nigdy do syta nie żarła” budziła przerażenie, od którego jeżyły się włosy na głowie. I był w tym przerażeniu niemal odosobniony. Jeśli nie liczyć romantyzacji wizjonera, któremu postępowcy przypinali łatkę reakcjonisty, Zygmunta Krasieńskiego. On to w „Nie-boskiej komedii” przewidział owoc rewolucji. Morze krwi, zagładę ludzkości. Ale miał wtedy pomoc Chrystus, Galilejczyk. W tę pomoc jakoś nie umiał uwierzyć poeta przeklęty. Przeklęty bo zobaczył za dużo. Bo zawsze widział i wiedział za dużo. I do późnego wnuka, do Witkacego pewnie też Juliusz Słowacki zaadresowałby pełną wzgardy frazę skierowaną do autora „Nie-boskiej”: „A ty zląkł się? Syn szlachecki! Juliusz Słowacki, pielęgnujący utopijną wizję rewolucji.

Tak, zląkł się syn szlachecki, którego szlachectwo było szlachectwem ducha. Bo czytał uważnie: „Rozczyn dzieł Marksa wlny w bydłat czaszki / Wytwarza z mózgiem przedziwną miksturę. / W sikawki wtlacza to wszystko drań jakiś, / By pod ciśnieniem w świat puścić przez rurę”.

„Tam gdzie idziemy teraz, dokąd włoką nas ślepe siły, ku ostatecznej mechanizacji i zbaranienu – nie ma przed nami nic”.

Czy te słowa mógł pisać infantylny wesołek „niegroźny paranoik”?

„Wytrzymać istnienie bez obłędu rozumiejąc choć trochę jego esencję, bez zatumanienia się religią, czy społecznikostwem, to nadludzkie już nieomal zadanie”.

Po tylu latach walki z sobą o samego siebie przychodziło wszechogarniające zwątpienie. Zwątpienie w przyszłość świata w swoją sztukę wreszcie. Przy takiej dozie autoironii, przy

świadomości kompromisów do których zmuszała go sytuacja pisał brutalno-buntownicze wierszyki, w których odreałowywał – co właśnie? – chyba pogardę dla samego siebie: „Dziś albo jutro / Na bordo papierze / Muszę się uporać z twą mordą frajerze”.

„Nie jest to przyjemność duża / Cały dzień malować stróża / I za taki marny zysk / Zglębiać taki głupi pysk”.

Bo to nie stróż czy frajer byli przedmiotem ataków. Ale jak długo można żyć z pogardą wobec tego co się robi, a co się robić miało, kim się miało być, jak się miało żyć.

„Lepiej jednak skończyć nawet w pięknym szaleństwie niż w szarej, nudnej banalności i marazmie” – pisał w Teorii Czystej Formy.

A więc pozostaje obłęd kontrolowany. Zabawa w teatr absurdu splata się ze śmiertelną powagą. Dramat ukrywany pod maską szaleństwa, wyzieraający jak rąg z każdego wierszyka. Dramat nadwrażliwego dziecka, które przeraża niezrozumiały świat.

Niezrozumiały? Poeta niestety rozumiał go coraz lepiej.

A czym bardziej stawał się zrozumiały, czym bardziej rozpoznawalny, był tym bardziej przerażający.

To co od wczesnego dzieciństwa przeczuwał, to przed czym próbował go uchronić ojciec, było coraz bardziej namacalne. Unifikacja świata spersonalizowana wizją cyborgów, którzy zagrażali cywilizacji i kulturze w tym samym stopniu co wszechobecny Cham.

Jak długo można udawać, że wszystko jest cacy? Jak dalece można się zapamiętać w słownych igraszkach?

„Puć tu do mnie Dziedzko puć / Ukuj moją starczą chódź”.

„A gdy zobaczył to czego nie trzeba, / To mu się zdało, że to rąbek nieba”.

Ale niebo było gdzie indziej. Już nawet nie ukrywał gdzie. Coraz częściej z wierszy wyzierała liryczna tęsknota do tego co proste, dobre, udzierniane z prawdy jak zakopiańska zapaska, jak przedwieczne mgły nad Olczą.

„Na Olczy wszystko tak jak dawniej-cicho i spokojnie / U Tymbdiów tylko świeżo wymyte podłogi / I pachnie wciąż choinką i konfiturami / I kazali nam tylko dobrze wytrzeć nogi. / Mama pasjans swój kładzie i wszystkim się zdaje / Że życie tak jak dawniej spokojnie upływa”.

„Już na odwieczny dzwonią / dojne byki i pachną świeże / dożynki, a Anioł Pański / pieje po zapłociach / o dzieże świeżego miodu...”.

„Taki był nastrój / kiedym tu był”.

A był. Na wyciągnięcie ręki. Może więc trzeba odejść daleko, żeby odnaleźć to, co blisko. To co się zgubiło, zużyło, stłzło. Może wystarczy dobrze wytrzeć nogi.

„I umrzeć – usnąć – i przyjąć, że sen uśmierza boleść”.

HANNA KAROLAK

a

## Pociąg do Warszawy

(Dokończenie ze strony 9)

W tym miejscu muszę z wielkim bólem i oburzeniem konstatować fakt, że całkiem niedawno owa księgarnia została brutalnie zamknięta, mimo sprzeciwu mieszkańców stolicy. Mimo że w ostatnim czasie nie posiadała ona tak bogatego asortymentu książek, tym nie mniej powinna być istnieć! To właśnie tam kupiłem kiedyś książkę pod tytułem „Dzikie pole w ogniu” – historyczną rozprawę Wójcika, „Rodowód geniusza, albo ukraińskie noce” – Iwaszkiewicza i wiele, wiele innych książek, w tym fundamentalną pozycję – „Historię Polski” w kilku tomach. Rzecz jasna w przypadku „Historii Polski” dokonano adiustacji tekstu zgodnie z komunistyczną doktryną, mówiącą o klasowym podejściu w ocenie wydarzeń historycznych. Uczyniono to jednak nie w takim stopniu, jak to było praktykowane w radzieckich wydaniach na Ukrainie. Najważniejsze, że książka ta zawierała wiele nieznanymi mi dotąd faktów i że owe fakty były przedstawione z mniejszym „zaangażowaniem” w porównaniu z bezapelacyjnym tonem radzieckich podręczników do historii, w których opisywano, z jaką „radością przyłączały się do Rosyjskiego Imperium słowiańskie (i nie tylko) narody...”

Jest więc oczywiste, że w tej sytuacji zacząłem zastanawiać nad tym, co spowodowało, iż na zachodnich terenach Ukrainy, w sytuacji kiedy „Polacy znęcali się nad Ukraińcami”, mimo wszystko przetrwał ojczysty język, własna Cerkiew, własne zwyczaje ludowe, organizacje krzewiące oświatę. A jednocześnie „w objęciach starszego brata” zniszczono nieomal wszystko, bowiem wszelkie działania na rzecz zachowania tożsamości przez podbity naród uważano za przejaw „burżuazyjnego nacjonalizmu”. Zaczęłem zastanawiać się i z czasem rozumieć, dlaczego na terenie Ukrainy bezlitośnie tłumiono i niszczone w zarodku wszelkie próby zachowania narodowej samoświadomości nie tylko przez Ukraińców, ale także przedstawicieli innych narodowości. Wywożono ich brutalnie z miejsc ich tradycyjnego osiedlenia hen, daleko, na Syberię lub do Kazachstanu. I nie tylko Polaków z Marchlewszczyzny, o których tak prawdziwie napisał w swojej książce mój dobry przyjaciel Anatol Diaczynski, a który sam urodził się w Kazachstanie w rodzinie „spec-osiedleńców”, a obecnie mieszka w Polsce. Tę książkę zacząłem przekładać na język ukraiński i mam nadzieję, że wkrótce ukaże się ona w Kraju nad Dnieprem, bowiem obecnie można już opowiedzieć całą prawdę o przestępstwach komunistycznego reżimu wobec tych narodów, które owi barbarzyńcy uważali za zacieklonych wrogów, bo nie chciały one wystarczająco szybko stać się elementem „nowej, historycznej wspólnoty”... Powróćmy jednak do mojego zainteresowania Polską. Otóż po zakończeniu wyższej uczelni niezbyt długo pracowałem na Ukrainie, bo-

(Dokończenie na stronie 22)